Luty 2016

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

220

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

RAJD ZIMOWY

RENDEZ-VOUS W BESKIDACH

13-14.02.2016

Tradycyjnie, jak co roku w okresie przerwy międzysemestralnej, dla studentów Politechniki Śląskiej [i nie tylko! - red.] został zorganizowany przez SKPG „Harnasie" górski rajd zimowy. Tym razem metą dla zmęczonych, ale jakże szczęśliwych (oraz tych mniej zmęczonych, ale tak samo szczęśliwych) rajdowiczów była Telesforówka, znajdująca się na grzbiecie Trzech Kopców Wiślańskich pomiędzy takimi miejscowościami jak Brenna, Wisła i Ustroń. Rajd rozpoczął się w wigilię dnia uznawanego przez niektórych za najbardziej romantyczny dzień roku (tj. 13.02).

Pierwsza grupa wyruszyła o jakże niehumanitarnej godzinie 7.32 z dworca PKP w Katowicach i pod przewodnictwem Orzecha udała się w stronę Bielska-Białej, gdzie przesiadła się do środka komunikacji pośredniej (czyt. autobusu) i udała do Buczkowic. Tam rozpoczęło się długie podejście na najwyższy szczyt Beskidu Śląskiego, Skrzyczne, dalej – zejście ku przełęczy Salmopolskiej, aby stamtąd rozpocząć kolejne podejście już w kierunku mety na Trzech Kopcach Wiślańskich. Meta została osiągnięta po godzinie 19.

Za to druga grupa w chwili, kiedy pierwsza część wyprawy, przecierając jeszcze zmorzone snem oczy, zmieniała środek transportu, powoli zajmowała miejsca w pociągu zmierzającym w stronę Ustronia (odjazd o 9.08). Grupa była prowadzona przez Olę oraz Dagmarę przez tak wybitne szczyty jak Równica czy Orłowa w stronę Telesforówki, do której ostatecznie udało się dotrzeć kilka minut po godzinie 17. Tak długi czas wędrówki można tłumaczyć dość pokaźnymi zapasami materiału na kulki śnieżne, które z wielką ochotą i zapałem kilku co bardziej kreatywnych rajdowiczów postanowiło uszczuplić.

Na mecie czekało na wszystkich ciepłe jedzenie przygotowane przez organizatorów rajdu: Anię, Metzgera i Stefana. Kiedy wszyscy obecni już się posilili oraz odpoczęli po dniu pełnym wrażeń, organizatorzy zaprosili nas do wspólnej zabawy, która składała się z trzech części. W pierwszej, drużyny miały za zadanie opisać i narysować różnorakich amantów (od starożytnego Chińczyka po ratownika ze Słonecznego Patrolu), w drugiej części drużynom pozwolono popuścić jeszcze bardziej wodze fantazji i… stworzyć miłosny poemat. Jeden z rajdowiczów postanowił wykorzystać tę sytuację i napisać limeryk skierowany ku pewnej z niewiast zasiadającej w komisji. Pozostaje pytaniem bez odpowiedzi, czy jego uczucie zapłonęło żywym ogniem, tak jak obiecywał, czy jedynie chciał on zbałamucić dziewczynę i dostać dodatkowe punkty? Ostatnią konkurencją było uzupełnienie trzech tekstów starych, znanych i lubianych (lub mniej lubianych) przebojów minionej epoki. Jak to bywa w życiu, konkursy dobiegły końca i należało wybrać drużynę, która wygrała. Niestety zwycięzca mógł być tylko jeden, chociaż za wkład pracy oraz dobrego humoru na pierwszym miejscu powinno znaleźć się wszystkich pięć zespołów.

fot. Krzysztof Sokół

Ostatnim oficjalnym etapem rajdu było wylosowanie trzech szczęśliwców, którzy dostali nagrody ufundowane przez firmę Tuttu, a były to: dwie chusty wielofunkcyjne typu buff oraz ręcznik szybkoschnący. Lecz wieczór na tym się nie skończył i jeszcze przez kilka godzin towarzyszyły nam dźwięki gitary i śpiew.

Następnego dnia część osób zeszła bezpośrednio do Wisły, mała grupa postanowiła przespacerować się przez Równicę do Ustronia, a kilka osób wyruszyło na Skrzyczne.

Chciałbym podziękować organizatorom, przewodnikom i uczestnikom rajdu za świetnie wspólnie spędzony czas!

Karol Dopierała

GRAŃ KRUPÓWEK

Relacja z pierwszego zimowego kobiecego przejścia prawą Granią Krupówek i zdobycie góry Kościuszki (838 m npm) w lekkim (czyt. niedosłownie) stylu alpejskim...– czyli jak na Krupówki przystało: lekkim-niealpejskim.

To niecodzienne wydarzenie miało miejsce w niedzielne dopołudnie dnia 14/02/2016 w Zakopanem. Śmiem nawet twierdzić – że absolutnie nie do powtórzenia! Oto relacja z Dziennika Wyprawy.

Grupa alpinistek w składzie Kasia J., Sylwia R., Kasia F. od kilku tygodni przygotowywała się do zdobycia Kościelca zimą. Ponieważ sobotni atak z powodu zbyt dużej pokrywy śnieżnej zakończył się fiaskiem, osiągając jedynie Halę Gąsienicową i maksymalną wysokość 1609 m n.p.m., postanowiłyśmy wykorzystać możliwości wcześniej zdobytej aklimatyzacji i fakt posiadania sprzętu i poszukać godnego uwagi kolejnego celu alpinistycznego. Akcja była co prawda zaplanowana naprędce i w pośpiechu na niedzielne dopołudnie, niemniej uwzględniała wszelkie możliwe okoliczności, jakie mogłyby wydarzyć się w chwili rozpoczęcia wspinaczki.

Geograficznie Grań Krupówek znajduje się między dwiema wyniosłościami Rowu Tatrzańskiego – Antałówką i Lipkami. W całości zbudowana jest z twardego granitu średnioziarnistego. Zatem wspinanie w warunkach letnich należy do bardzo przyjemnych, ze względu na duże usłonecznienie, jednakże należy liczyć się ze sporymi tłumami, ponieważ miejsce jest dość łatwo dostępne z leżącej u podnóża miejscowości Zakopane. Natomiast wspinaczka zimowa należy już do poważniejszych wyczynów, toteż do tej pory nikt nie podjął się tego nieco karkołomnego wyzwania. Sama zaś góra Kościuszki jest nieznacznym wypłaszczeniem w całej grani Krupówek. Podczas wspinaczek letnich to właśnie w tym miejscu zakłada się obóz przejściowy między Dolną a Górną częścią grani. Jest to zatem idealne miejsce na dłuższy odpoczynek, regenerację sił, a także możliwość uzupełnienia zapasów żywnościowych (obok znajduje się małe awaryjne lądowisko dla helikopterów, zwane Reserved i oznaczone odpowiednio literą H).

Do wyboru miałyśmy dwa dość eksponowane, choć niezbyt trudne technicznie warianty. Ostateczną decyzję odkładałyśmy do momentu podejścia pod ścianę na wypłaszczony teren, z którego miał nastąpić atak (wysokość ok. 790 m n.p.m.). Decyzja była uzależniona od oceny aktualnych warunków pogodowych. Już na samym początku musiałyśmy odstąpić od wariantu nieco łatwiejszą – lewą granią, z powodu braku odpowiedniej pokrywy śnieżnej i zbyt dużego oblodzenia. Miała ona wieść obok skalnych wież zwanych lokalnie Rocky Church i dalej krótkim żlebem tuż obok małej groty skalnej zwanej Sabała Cave, wyprowadzającym prosto na górę Kościuszki. Pozostał nam więc wariant prawą granią. Początkowo trasa wiodła żlebem (czyt. rynsztok) tuż obok niewielkiego stawu polodowcowego zwanego Czarnym Stawem oraz krótkim tunelem śnieżnym (miejsce zwane przez lokalnych szerpów Subway) tuż pod czyhającymi po prawej stronie serakami zwanymi w tym miejscu Sinsay. W dalszym, końcowym już odcinku, trasa wiodła dość szerokim, śnieżnym polem kotła polodowcowego, zagrożonym możliwością wywołania lawin schodzących z dużej powierzchni grani zwanej w tym miejscu Sport Corner.

W tym miejscu należało bardzo ostrożnie zmienić kierunek na południowo-wschodni i przejść w

c.d str. 2

miejsce, w którym obrany wariant krzyżuje się z wariantem lewą granią. Stąd do najwyższego punktu góry Kościuszki pozostało już tylko szerokie śnieżne plateau.

Oto przebieg działań grupy wspinaczkowej w składzie: Kasia J. (kierownik), Sylwia R., Kasia F. Około godziny 10:30, po skompletowaniu i założeniu sprzętu, sklarowaniu liny, rozpoczęłyśmy marsz pod prawą grań. Jednak już na początku spotkałyśmy dwie samotne turystki – Jolantę G. i Monikę P., które jak się okazało, przymierzały się zupełnie lekkomyślnie do zrobienia tej samej drogi, jednakże bez użycia specjalistycznego sprzętu. Po krótkim namyśle, zaproponowałyśmy im dołączenie do naszej grupy szturmowej, użyczyłyśmy zapasowego sprzętu (raki, czekan, kask), założyłyśmy prowizoryczne uprzęże z taśm i przywiązałyśmy do liny między sobą, zgodnie z zasadami sztuki. Wtedy rozpoczęłyśmy zasadniczy atak szczytowy. Przejście pierwszych odcinków nie nastręczyło żadnych problemów. Po drodze ok. godz. 10:50 minęłyśmy dużą grupę wspinaczy, schodzących z wyjścia aklimatyzacyjnego lewą granią (z małym wariantem środkiem kotła) tuż pod Rocky Church. Następnie mając na uwadze dość wysoko operujące już słońce, bardzo ostrożnie minęłyśmy serakowy odcinek Sinsay. Kiedy myślałyśmy, że kluczowy odcinek mamy za sobą, niespodziewanie z lewej strony w oddali pojawił się niedźwiedź! Byłyśmy najpierw zaskoczone tym niecodziennym widokiem, ale niewiele myśląc, przyspieszyłyśmy wspinaczkę i spróbowałyśmy schować się za wystającą opodal niewielką skałę. Podczas tego manewru Sylwia pośliznęła się, pociągając za sobą Monikę. Na szczęście Kasia F., idąca jako ostatnia, bardzo szybko zareagowała, asekurując całą naszą ekipę. Udało się sprawnie opanować sytuację, hamując czekanami. Obsuwa nie była aż tak znaczna, jednak kosztowało nas to sporo energii. Dlatego postanowiłyśmy zaraz za skałą rozstawić mały obóz w celu regeneracji sił i uzupełnienia kalorii.

Po odpoczynku rozpoczęła się wspinaczka w terenie mikstowym, tylko krótkimi fragmentami w zupełnym oblodzeniu. W końcowej fazie teren zrobił się skalny. Warunki pogodowe także przestały sprzyjać. Zaczął wzmagać się coraz bardziej gwałtowny wiatr, co sygnalizowało całkowitą zmianę pogody. Podmuchy wiatru uprzykrzyły nam końcowy fragment podejścia pod górę Kościuszki. Zanim do niego doszłyśmy, miało miejsce jeszcze jedno zdarzenie. Otóż będąc na prowadzeniu, lekko oślepiona przez słońce (podczas pierwszego obsunięcia zgubiłam okulary lodowcowe), potknęłam się i upadłam na czekan, lekko tylko wytrącając z równowagi i bezpiecznej pozycji Monikę. Na szczęście i tym razem kryzys został szybko opanowany i mogłyśmy dokonać śmiałego trawersu na lewą stronę, w celu osiągnięcia podszczytowego plateau.

Do szczytu doszłam lekko wykończona ok. godz. 11:20. Szybko założyłam stanowisko asekuracyjne, wykorzystując duży obły fragment granitowej skały. Udeptałam śnieg i założyłam kilka dodatkowych stanowisk do autoasekuracji, a następnie rozpoczęłam asekurację kolejno dochodzących dziewczyn. Szczęśliwie wszystkim udało się bez większych obrażeń dotrzeć do celu. Tuż przed południem, z użyciem śmigłowca dotarła do nas grupa fotoreporterów, porterów oraz grupa wsparcia technicznego. Po zrobieniu pamiątkowych zdjęć, uściskach i uzupełnieniu płynów pozytywne emocje udzieliły się wszystkim. Ale należało szybko ewakuować się z powodu nadciągających z zachodu chmur. Tak zakończył się pierwszy etap naszej zimowej wyprawy. Niesione sukcesem postanowiłyśmy wrócić za rok i dokończyć wspinanie aż do Górnej części Grani Krupówek. Co prawda, z obserwacji letnich wiemy, że jest to fragment dużo trudniejszy technicznie, grań zwęża się znacznie i nie ma zbyt dużo miejsca na rozstawienie jakichkolwiek obozów przejściowych, zatem należy staranniej i z dużym wyprzedzeniem przygotować się do tego wyczynu, uwzględniając wszystkie mogące wystąpić okoliczności. Ale póki co, cieszymy się z sukcesu.

Pamiętajcie – jak mawiają wujowie – nie ważne jak było, ważne jak się opowie! A zabawa była przednia. :)

Kasia Jamróz

ZWYKŁY DZIEŃ

Jest wieczór 13 lipca 2015r. Od Prezesa dostaję propozycję z gatunku tych „nie do odrzucenia". Mam jutro poprowadzić grupę muzyków, uczestników konkursu im. Wojciecha Kilara. Organizatorzy postanowili pokazać przybyłym z całej Europy artystom piękno naszych gór i zaserwować przeżycia iście dla nich ekstremalne. Moje zadanie polegało na poprowadzeniu grupy z noclegu w warunkach trochę odbiegających standardem od tych, do których przywykli podczas swoich wojaży – czyli z bazy na Głuchaczkach do Korbielowa.

Już rano pojawiły sie pierwsze komplikacje. Wszystkiemu winien był nietypowy układ kanapek. Sprowadzony specjalnie do kulinarnej obsługi festiwalu Mistrz na samym szczycie kanapkowego stosu umieścił swoją popisową kompozycję – kanapkę z dżemem ozdobioną plasterkami cebuli. Należało zjeść najpierw tę na samej górze, żeby można było sięgnąć po następne. Nikt nie ważył się zjeść pierwszej kanapki. Artyści dawali wyraz swojemu niezadowoleniu. Śniadanie byłoby całkowitą klęską, gdyby nie poświęcenie jednego z uczestników – jak się później okazało: wnuka syberyjskiego więźnia. Ten znający od dziecka opowieści o trudnym życiu swoich przodków uratował honor szefa kuchni. Z całego serca dziękuję dzielnemu potomkowi Sybiraka, który z wielkim apetytem zjadł dzieło Mistrza i otworzył możliwości zjedzenia śniadania przez pozostałych uczestników wyjazdu.

Po śniadaniu „moi" muzycy nie przejawiali wielkiej chęci szybkiego zebrania się i wyruszenia w drogę. Byli nieco skonsternowani koniecznością samodzielnego spakowania się i dobrania odpowiedniego ubioru do panujących warunków pogodowych. Nie mogłam się posługiwać określeniami typu: „proszę założyć stuptuty, bo możemy napotkać błoto". Żaden z uczestników nie wiedział, co ma wyciągnąć z plecaka. Po obrazowym przedstawieniu, jak wygląda ta część ekwipunku, przyszła kolej na zademonstrowanie, w jaki sposób i gdzie należy ją zakładać.

Muzyków bardzo zmobilizowało do wyruszenia w drogę przypomnienie, że w Korbielowie musimy być punktualnie, gdyż czekają tam masażyści i kosmetyczki w SPA. A wieczorem helikoptery przewiozą ich do Katowic.

Przed samym szczytem Jaworzyny natknęliśmy się na bazę, którą rozbili w tym miejscu harcerze. Napotkanie odrobiny cywilizacji mogło okazać się dla jednej z uczestniczek zbawienne. Bardzo cierpiała wskutek niewygodnego obuwia. Dopiero po zaplastrowaniu obolałych miejsc mogliśmy ruszyć w dalszą drogę. Nie było konieczności wzywania pomocy i korzystania z gościny u harcerzy. Perspektywa opuszczenia naszego towarzystwa podziałała na obolałe stopy naszej koleżanki jak najlepszy balsam i już do samego Korbielowa nogi niosły ją niczym skrzydła u ramion.

W czasie naszej wędrówki kilka osób bardzo zaintrygowały tajemnicze znaki na drzewach – biało-czerwono-białe paski. Po objaśnieniu, co to jest oraz że paski mogą być w jeszcze innych kolorach, uznali, że to bardzo „sprytny" sposób znaczenia drogi w górach. Artyści byli bardzo zainteresowani wszelkimi roślinami, które można wykorzystać do poprawy swojego wyglądu i samopoczucia, a które rosły tak sobie w lesie i w polu: dziurawcem, pokrzywą, skrzypem. Byli też bardzo zaintrygowani opowieścią o szklaku handlowym przebiegającym przez Przełęcz Półgórską i o towarze, który tamtędy był przewożony, a miał znaczenie wręcz strategiczne. Mowa oczywiście o soli i winie. Powiązania potentatów miedziowych Thurzonów z wielkim artystą Witem Stwoszem również wzbudziły ich ciekawość. Podziwiali drzewa, z których drewna wykonuje się instrumenty muzyczne. Byli zdziwieni, że te rosnące w naszych lasach słyną z jakości i przyjeżdżają po nie na specjalne aukcje kupcy z całego świata. Ku mojemu zaskoczeniu, muzycy bardzo szybko opanowali sztukę robienia panoramek. Uznali to za fantastyczną zabawę i prześcigali się w nazywaniu tego, co akurat odsłaniało się naszym oczom.

Naszą wędrówkę zakończyliśmy w Korbielowie. Serdecznie żegnałam się z muzykami ze 100% pewnością, że jeszcze kiedyś zawitają w nasze piękne góry. A grając Orawę, Krzesanego czy Kościelca, będą przypominali sobie widoki z naszej wycieczki i na zawsze zapamiętają panoramki z Mędralowej i Głuchaczek.

I to był „zwykły" dzień, a właściwie pół dnia na naszym Przejściu Przewodnickim. Na nocleg na Hali Górowej doszliśmy już jako Górnicza Orkiestra Dęta, a z Hali Miziowej wyruszyliśmy jako nauczycielki po kawę z „sekspresu" serwowaną na „Słowiance".

Gosia Uman

BLACHOWANI 2016

Gosia Uman, blacha 388

Gosia „U" – ostoja spokoju, poukładana kursantka i jedna z dwóch osób, która w kursowym dzienniku nie zanotowała żadnej uwagi dotyczącej: skandalicznego zachowania, śmiania się z prowadzących i innych anarchistycznych wybryków. I jakby tego było mało, posiadaczka przytłaczającej ilości wiedzy wszelakiej. Prywatnie Mama, dumna z czterech wspaniałych synów, ambitna Pani przedsiębiorca, która po kursie to już prawdopodobnie niczego się nie boi.

Agata Kubiczek, blacha 389

Znana też jako Żabówna, Zawodowiec, Kijanka, Gagata. Miłośniczka i wirtuoz zarazem: gitary, śpiewu, tamburynu, dwóch grzechoczących wypełnionych ryżem jajek i innych wydających z siebie dźwięki przedmiotów (a i ostatnio też akordeonu). Najhardziejsza kobieta na kursie, potrafiąca skasować liczbą wykonanych pompek niejednego faceta i jeszcze fanatyczka jazdy na nartach. A do tego powabna, stroniąca od alkoholu Pani programistka, która dowcipami branżowymi doprowadzi do tachykardii nawet umarlaka.

Marek Krupa, blacha 390

Marek (Magiczna (Diamentowa :D) Kula, Długi) – w pewnych chwilach i migawkach z naszych wyjazdów wyższy niż Łomnica – prawdziwy król Karpat. Mistrz słowa mówionego, potrafiący długimi minutami mówić, praktycznie rzecz biorąc, o wszystkim, co wymagałoby syntetycznego, jednozdaniowego ujęcia. Wytrwały członek kursowego chórku, potrafiący podobnie jak Gosia „M" śpiewać, śpiąc i do tego dzięki swojemu wzrostowi wisieć nad ogniskiem do 7 nad ranem. Rowerzysta. Niebawem zamiłowany Pan inżynier elektronik.

Sebastian Lenartowicz, blacha 391

Znany jako Seba, Rycerz Mchu, Maestro. Postać w zasadzie wymagająca osobnego opracowania albo i monografii. Trochę endemit, którego występowanie ogranicza się czasem do jego wyobraźni. Członek kursowego gitarowego trio, interesujący się zaciekle fauną i florą karpacką, a zwłaszcza mchami oraz siwym bydłem rogatym, którego wytrwale poszukuje w Beskidach. Świetnie czujący brazylijskie rytmy. Miłośnik słodyczy: rożków, lodów i wszystkiego, co zawiera w sobie glukozę – jego specjalnością jest syrop herbaciany (herbata:cukier, 50:50). Rowerzysta. Kolejny Pan elektronik.

Jacek Przyłucki, blacha 392

Znany jako Jacek Pan hrabia von Przylucki aus Königshütte.

Kursowy historyk, militarysta, który w czasie niejednego wyjazdu puścił z dymem Sanok, Lesko i kilka innych miast z TU. Wybitny znawca żywieckich tradycji antysemickich, specjalizujący się również we własnoręcznym wydobyciu ropy, czym wprawił w oniemienie nawet prowadzącego obóz zimowy (k)ruczka. Orędownik i znawca polskich kolejek wąskotorowych. Jeden z kilku kursantów, który mógłby swoimi uwagami za sprawowanie obdzielić niejeden kurs. Rowerzysta. Niebawem Pan inżynier od automatyki.

Damian Nakonieczny, blacha 393

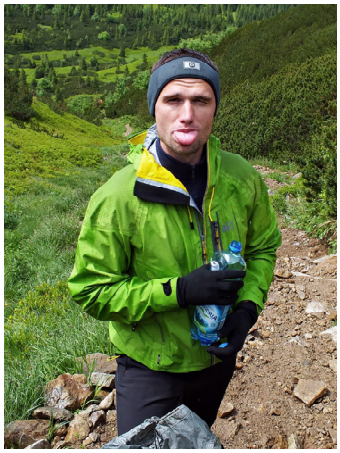

Znany jako Dziki Polski Indywidualista, z tego Knurowa. Trochę wybuchowa mieszanka – podkarpackie korzenie, po tatarsku ściągnięte brwi i śląski separatyzm. Kursowy anarchista i sokole oko (coś jak Alan Alda). Adiutant Pana hrabiego. Wraz z Robertem „Lobeltem" Zaczkiem uczestnik kursanckiego sadystyczno-kabaretowego duetu „Janusz i Andrzej, czyli typowi polscy turyści", który umilał w wolnych chwilach kursanckie wieczory. Współautor i uczestnik kilku kursowych drak, m.in. Prowokacji Żywieckiej i „Samo-porwania" Michała z Sosnowca. Rowerzysta. OMC (o mało co) doktor inżynier chemik.

Michał Wieczorek, blacha 394

Pochodzący z Sosnowca, mieszkający w Sosnowcu, piewca Sosnowca i Zagłębia. Znany z bardzo charakterystycznego, wyjątkowego, niecodziennego poczucia humoru. Członek kursowej szturm-kapeli, który jak nikt potrafi zagrać więziennego bluesa na harmonijce ustnej (w końcu Sosnowiec). Nieśmiały mężczyzna – dopóki się nie odezwie… później to już w zasadzie ciężko zachować kontrolę nad własnym śmiechem. Kursowy grafik. Kolejny przyszły Pan inżynier informatyk.

Gosia Musiał, blacha 395

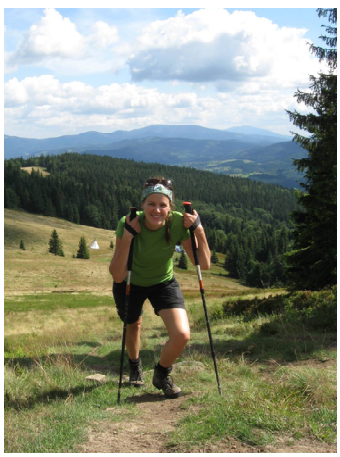

Gosia „M", Musiałowa-od Dominika. Numer#2 w kategorii „grzeczność" i poczucie obowiązku wśród kursanckiej braci.

Obok Zawodowej Agaty i Seby, członek kursowego trio gitarowego. Niezłomny uczestnik kursowych nasiadów do 4-ej nad ranem, potrafiąca grać na gitarze, śpiewać i jednocześnie spać w najlepsze. Osoba poetycko wrażliwa, posiadająca uroczy, urzekający głos, który w pewnych okolicznościach może przyćmić nawet radio samochodowe ustawione na rozwór. Urocza polonistka lubiana przez szkolnych Hunów.

Dagmara Góralska (Daga), blacha 396

Z Czeladzi (zamieszkanie stałe). Jedna z tych osób, która wie, do czego służą orzeszki bukowe (bukiew) i w jaki sposób wprowadzić je do organizmu ludzkiego, żeby maksymalnie uatrakcyjnić użytkownikowi doznania (tzw. shocking way of application). Posiada również rozległą wiedzę geologiczną – rekomendacją może być funkcjonujący do dzisiaj przełom Soły, który kol. Góralska przekopała sama, własnoręcznie, mając do dyspozycji tylko szpadel bez sztyla. W wolnym czasie wzięta Pani farmaceutka, która wie, po czym wokół konaru zatańczą płomienie.

Ewa Szabelska (Szabla), blacha 397

Pochodząca z Polskiego Meksyku (Podkarpacie) właścicielka czterech luksusowych kółek w kolorze czerwonym, będących sztandarowym produktem znanego włoskiego producenta samochodów sportowych. Osoba niesłychanie nieśmiała, skromna, cechująca się nienagannymi manierami, wyszukaną elegancją oraz legitymująca się pochodzeniem z dobrego domu. Wszystkie wymienione zalety nie przeszkadzają jej na wyczyszczenie „do blachy" gara z pulpą oraz raczenie się zwykłą dla mieszkańców Podkarpacia, a śmiertelną dla reszty Polski, ilością spiritus vitalis. Przyszła Pani doktór.

Zamiast posłowia…

Ze względu na ograniczone ramy objętościowe MM i charakter tego „blaszanego" wydania, musieliśmy skrócić nasze „kursowe bio" i nie wspomnieć o naszych kolegach, którzy zdecydowali, że Koło jeszcze nie jest gotowe do zdzierżenia ich poczucia humoru i przyjęcia ich w poczet członków. A jest o kim wspomnieć, bo to wyjątkowa grupa ludzi, obdarzona rzadko spotykaną energią, poczuciem humoru, koleżeństwem oraz dobrocią i bezinteresownością. Wszystkie te przymioty sprawiły, że kurs, a właściwie podróż przez góry, był wspaniałą lekcją życia, która sprawiła, że zawiązały się między nami trwałe przyjaźnie. Przyjaźnie, które zaprowadziły nas dotychczas w m.in. norweskie fiordy, Kaukaz, marsz przez GSB. Dlatego egzaminatorzy, drżyjcie, bo Oni dadzą wam popalić… Alu, Mileno, Michale K., Pawle K. i P., Robercie – dziękujemy i wierzymy w Was!

TAKA NOC, RAZ W ŻYCIU ZDARZA SIĘ

18 lipca 2014r. Przedostatni dzień obozu. Zmęczeni, głodni i przemoczeni dotarliśmy na nasz ostatni nocleg w chatce na Pietraszonce. Część osób przygotowywała pulpę na naszą ostatnią obozową kolację. Ci, którzy nie byli zajęci w kuchni, rozkoszowali się kąpielą w nowo wyremontowanej łazience. Przyjemność płynącą z przebywania pod ciepłym prysznicem w łazience o standardzie przekraczajacym chatkowy, psuły jedynie „znikające" drzwi. Obsługa chatki zdejmowała je z zawiasów i wynosiła. Tłumaczyli, że zależy im na oszczędzaniu wody. Ale nie stanowiło to przeszkody dla zaprawionych w pokonywaniu przeciwności losu kursantów. Determinacja wynikająca z potrzeby przywrócenia higieny do stanu umożliwiającego powrót do cywilizacji, przyćmiewała dyskomfort.

Po kolacji, kiedy wszyscy już zamierzali udać się na zasłużony odpoczynek, usłyszeliśmy krótkie, lecz stanowcze zdanie z ust prowadzącego:

„Za pół godziny stawić się przed chatką z latarkami, karimatami i tym, co każdy z Was uzna za stosowne!"

Była godz. 23! Lecz przyzwyczajeni przez ostatnie dni do nagłych zwrotów akcji pokornie udaliśmy się po konieczne rzeczy. Myśl – cieżki jest los kursanta – mieszała się z ciekawością miejsca, do którego mamy się udać. Wszak Barania Góra nie tak odległa, a do świtu daleko.

Punktualnie, zwarci i gotowi, wyposażeni dodatkowo w mapy i kompasy (tak na wszelki wypadek) staliśmy przed chatką, czekając na dalszy rozwój wypadków. Nasza grupa stanowiła mieszankę doświadczonych Harnasi, zaprawionych w boju kursantów oraz jednego niezwykle zdeterminowanego sympatyka kursu.

Prezes poprowadził nas w nieznane. Po niezbyt długim marszu zatrzymaliśmy się i zgasiliśmy latarki. A później co? Oczywiście! Padło nieśmiertelne pytanie „Gdzie jest północ?"

Sprawiliśmy się bardzo dobrze i pozwolono nam rozłożyć karimaty i usiąść. Przy świetle księżyca i gwiazd Harnasiowa brać dokonała podsumowania kursu i obozu. Atmosfera była bardzo podniosła, nie obyło się bez łez wzruszenia. Zdaliśmy sobie sprawę, że skończyła się wspaniała przygoda, że będziemy mieć mnóstwo wspomnień z przeżytych razem miesięcy, że spotkaliśmy wspaniałych ludzi, z którymi połączyła nas nasza pasja, a przede wszystkim, że pomimo tylu przeciwności losu daliśmy radę!

Po kilku minutach, które spędziliśmy w całkowitej ciszy, Prezes dał sygnał do powrotu. Nikt jednak nie poszedł do chatki. Wszyscy usiedliśmy przy ognisku – w tym nasi czterej gitarzyści: Krzysiu, Ola, Seba, Gosia M., Agata oraz wirtuoz gry na grzebieniu – Natalia. Zaczęli grać. Byliśmy tylko my z naszymi piosenkami , a dookoła nas ciepła noc i cisza. Nawet deszcz przestał padać . Kiedy wybiła 4 – przyszedł czas na wspaniałego „Czarnego bluesa o 4 nad ranem". O 6-tej, kiedy słońce już rozjaśniło ciemność nocy, wszyscy powstaliśmy i zaśpiewaliśmy „Janicka". Pieśń brzmiała tak jak nigdy przedtem, ani nigdy potem. Nawet przypadkowi wędrowcy, dochodzący właśnie z pięknym psem na mocno spóźniony nocleg, zdawali się wiedzieć, że są świadkami czegoś naprawdę niezwykłego.

To był rzeczywisty koniec naszego obozu. Dla tego jednego wieczoru, tej jednej nocy i tego jednego świtu warto było przeżyć te kilkanaście miesięcy w prażącym słońcu, deszczu, mrozie i błocie.

Po wszystkim poszliśmy spać, żeby po 4 godzinach wyruszyć w drogę prowadzącą nas do pociągu i do powrotu do codziennych zajęć. Nie byliśmy jednak tymi samymi ludźmi, którzy wyruszyli na ten obóz tydzień temu. Mieliśmy w sobie cząstkę czegoś wiecznego, czegoś pięknego, czegoś co doświadczyć można tylko raz w życiu. I to wspomnienie tej ostatniej nocy spędzonej w górach przy ognisku, pod rozgwieżdżonym niebem, ze wspaniałymi ludźmi będzie nam towarzyszyć i upiększać chwile aż do końca naszych dni.

Gosia Uman

TO BYŁO

✔ 10.02 „Wietnam" slajdowisko Oli Ginter i Marty Stachurskiej w klubie Namaste w Katowicach.

✔ 13-14.02 Rajd Zimowy z zakończeniem w Telesforówce pod Trzema Kopcami Wiślańskimi. Organizowali: Ania Latusek i Stefan Brzezinka, trasyprowadzili: Ola Ginter z Dagmarą Góralską oraz Marysia Orzechowska. Uczestniczyło 38 osób, w tym 6 Harnasi, 3 półprzewodników.

✔ 23.02 w Mrowisku odbyło się slajdowisko o obozie kursowym 2015/16 w góry Rumunii (opowiadali Kamil i Michał) oraz o wyprawie „lada chwila Harnasi", czyli ekipy z kursu 2014/15 na Kazbek (opowiadali Sebastian i Damian).

TO BĘDZIE

❋ 27-28.02 **Blachowanie** kursu 2014/15 w schronisku na Przysłopie pod Baranią Górą.

❋ 1.03 rozpoczęcie nowego kursu przewodnickiego SKPG „Harnasie" pod kierownictwem Krzyśka Krawca (aktualnego prezesa). Zaangażowani są także: Zbyszek Drapała, Marek Krupa i Magda Goryl.

❋ 15.03 godz. 19:00 slajdowisko z cyklu „Harnasie w Namaste" – Michał „Świstak" Zygmański opowie o dwóch wyprawach na Filipiny.

❋ 19-20.03 Rajd na Powitanie Wiosny.

❋ 1-3.04 Korona Pogórzy, w tym roku na Pogórzu Rożnowskim.

❋ 9-10.04 Rajd PolUŚ.

Koncerty w „Leśniczówce"

❋ 11-03 Marek Andrzejewski („Lubelska Federacja Bardów") – akustycznie.